

Włodzimierz Szachidżanian.

Interesują mnie wszyscy ludzie

Wg materiałów: <http://1001.wdw.ru/>

W 1973 roku przygotowywałem dla gazety "Niedziela" wywiad ze znanym artystą, telepatą, jak go wtedy nazywali, człowiekiem-tajemnicą - Wolfem Grigorjewiczem Messingiem. Wywiad przeleżał prawie dwa lata i w 1975 roku zdecydowano się jednak na jego publikację.

Dyżurny redaktor Aleksander Awdijenko i główny redaktor "Niedzieli", Walenty Archangielski, zapewnili mnie, że materiał znajduje się w numerze, ale trzeba, bo jednak minęły dwa lata, jeszcze raz uzyskać autoryzację mojego rozmówcy.

Umawiając się na spotkanie, prosiłem Wolfa Grigorjewicza, żeby spotkał się ze mną jak najszybciej, bo numer już złamano i podpisano do druku i potrzebny tylko jego podpis. Błagałem, by nie odkładać spotkania, mówiąc o ważności publikacji.

Gdy spotkałem się z Wolfem Messingiem u niego w domu, przekazałem mu ten dawny wywiad i poprosiłem o powtórny autoryzację. On uważnie wszystko przeczytał i powiedział:

- Składam autograf. Tylko na próżno pan się denerwuje. W ostatnim momencie nasz wywiad zdejmą bez wyjaśnienia, a opublikują dopiero po dwudziestu latach, jeśli, oczywiście, pozostanie takie wydanie, jak „Niedziela”, a mnie już na tym świetle nie będzie.

Okazało się, że miał rację. Na dwie godziny przed podpisaniem numeru do druku, materiał zdjęto, bez jakichkolwiek wyjaśnień.

Dlatego zdecydowałem, niczego nie zmieniać w maszynopisie, tylko w nawiasach dać niezbędne, jak mi się wydaje, objaśnienia i komentarze.

Pierwsze spotkanie z człowiekiem-tajemnicą, odbyło się siedem lat temu (w 1969 roku, kiedy pracowałem w gazecie "Moskiewski Komsomolec". - W. Sz.), kiedy razem z dziennikarzem gazety "Sztandar Młodych", Andrzejem Bajorkiem, z trudnościami, dostaliśmy się na odbywający się w sali koncertowej hotelu „Sowieckaja”, występ Wolfa Messinga. On nas, swoimi psychologicznymi doświadczeniami zadziwił, oszołomił, zmieszał i zachwycił.

Natychmiast po koncercie, poszliśmy do garderoby Wolfa Grigorjewicza i na pytanie mojego kolegi, jak to jest, że mu tak wszystko świetnie udaje się, w czym tkwi sekret, Wolf Grigorjewicz spokojnie odpowiedział:

- Jestem taki sam jak wszyscy. Po prostu, mi się udało rozwinąć swoje zdolności, a liczni ludzie, posiadający zdolności, talent, nie rozwijają ich.

Jeszcze wtedy dla czytelników „Niedziela” chciałem zrobić wywiad, ale mistrz, tłumacząc się niedomaganiem, zmęczeniem, przepracowaniem, obiecał porozmawiać ze mną za jakiś czas. Od tamtej pory, powtarzam, minęło siedem lat i wywiad odbył się. (Spotykaliśmy się kilkakrotnie. Razem chodziliśmy do cyrku oglądać występy Jurija Nikulina, z którym, w tym czasie, pracowałem nad książką opisującą jego wspomnienia, pt. „Prawie poważnie...”. Licznych swoich przyjaciół prowadziłem na koncerty Wolfa Messinga, bywałem u niego w domu, ale za każdym razem, kiedy rozmowa schodziła na temat jego publikacji, Wolf Grigorjewicz momentalnie smutniał i prosił, aby z tym poczekać. - W.Sz.)

Wolf Messing przyjął mnie w swoim nowym mieszkaniu na ulicy Hercena. Na biurku - prezenty-pamiątki, książki... Książka, podarowana przez znanego chirurga A. Wiszniewskiego, utwory Kuprina, Maupassanta, Szołochowa, tomik wspomnień Georgija Żukowa...

Przy mnie, Wolf Grigorjewicz kilkakrotnie dzwonił. Załatwił komuś miejsce w klinice Władimira Iwanowicza Burakowskiego (Władimir Iwanowicz Burakowski kierował instytutem sercowo-naczyniowej chirurgii. Wolfa Grigorjewicza wiązała z nim osobista przyjaźń.)

- Wolfie Grigorjewiczu, jak zrozumiałem, wśród waszych przyjaciół jest wielu medyków. Czy sami często korzystacie z ich pomocy? - od tego pytania zaczął się nasz wywiad.

- Staram się z niej nie korzystać. Umiem się leczyć sam. Autosugestią, właściwym odżywianiem, rozsądnymi ćwiczeniami fizycznymi, tym, czym po prostu usuwam ból i przestaję go czuć. Tylko oto, z nogami trudno sobie poradzić. Bola... Występując, daję sobie rozkaz, zapomnieć o odczuciu bólu i dlatego ludzie siedzący na sali, nawet nie domyślają się, że mam chore nogi.

Po kilku latach, kiedy nogi zaczęły coraz częściej i mocniej boleć, Wolf Grigorjewicz poddał się operacji w klinice Władimira Iwanowicza Burakowskiego. Operację wykonano, ale nie wytrzymało serce. Godne uwagi jest to, że wyjeżdżając do szpitala, Wolf Grigorjewicz popatrzył na swój wiszący na ścianie portret i powiedział: „Wszystko, Wolf. Więcej tu nie wrócisz”. Powiedzieli o tym, Włodzimierzowi Iwanowiczowi Burakowskiemu po przeprowadzonej operacji i on wtedy z niezadowoleniem powiedział: „Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział wcześniej! Nie robiłbym operacji. Poczekałibyśmy. Jeśli sam Messing tak uważał, to przeprowadzenie operacji, było nierozważne”.

- Słyszałem, Wolfie Grigorjewiczu, że ta choroba jest wynikiem waszych dramatycznych przeżyć...

- Początek drugiej wojny światowej, zastał mnie w Polsce. Miasteczko, gdzie mieszkałem u ojca, było okupowane przez faszystów. Wyjechałem do Warszawy. Hitler, któremu przepowiadałem nieuniknioną zagładę jeszcze w 1937 roku, oświadczył, że człowiekowi, który wskaże miejsce mojego pobytu, miejsce, gdzie ukrywam się, dadzą wielką nagrodę.

W Warszawie pochwycili mnie faszyci - zabrali z ulicy. Przy sobie mieli plakat z moim portretem. Jeden z hitlerowców mocno uderzył mnie w szczękę. Wyleciało trochę zębów. Ja, powtarzam, jestem zwykłym człowiekiem: czuję ból, doznaję napięcia nerwowego. Z bólu, na jakiś czas, straciłem fizyczną i psychiczną siłę. Ale jak tylko ocknąłem się, zaczął wmawiać sobie: „Wolf, spokojnie. Nie denerwuj się. Wszystko ułoży się. Znajdzie się wyjście. Nie śpiesz się. Czekaj i myśl, jak wykaraskać się, jak uciec”.

Odwieziono mnie do komisariatu. Kiedy doszedłem do siebie, zrozumiałem: albo powinienem zebrać całą swoją wolę, energię i zrobić tak, żeby uciec od wrogów, albo mnie rozstrzelają. W myśli wysyłałem rozkaz policjantom i naczelnikowi oddziału: Proszę iść do mojej celi. Proszę przyjść do mnie. I oni się zbrali u mnie. Uważnie patrzyli na mnie, jakby czekali na moje rozkazy. Spokojnie wyszedłem z celi, zamknąłem ją od strony korytarza. Doszedłem do pierwszego piętra i wyskoczyłem przez jedyne okno bez kraty. Padając, uraziłem nogi. Od tamtej pory, dokuczają mi. Ale wtedy bólu nie czułem. Biec, iść na wschód, iść jak najszybciej, by nie pochwycili. Udało mi się, spotkałem człowieka, wiozącego na wozie siano. Udało się też namówić go, by ukrył mnie pod sianem. Tak wywieziono mnie z Warszawy.

- Wolfie Grigorjewiczu, a jak zaczęło się wasze życie w Związku? Uratowaliście się od faszystów, przeszliście granicę i...

- I zaczęły się trudności. Pierwszym miastem, do jakiego udało mi się trafić, był Brześć. Do hotelu nie wpuszczają, nocować nie mam gdzie. Przyszedłem do komitetu wykonawczego, do działu kultury. Moje imię nikomu nie jest znane, dokumentów nie mam. Pytają, co umiem robić. Opowiadam: mogę wykonywać polecenia, wydane mi w myśli lub zapisane na notatce, której nie będę czytać, mogę znajdować schowane rzeczy, prowadzić samochód z zawiązanymi oczyma, chociaż nigdy nie robiłem tego wcześniej. Proszą o pokazanie dokumenty. A ja, nie mam żadnych dokumentów. Nie wierzą, że spokojnie przeszedłem granicę, dotarłem do Brześcia i sam oto, z własnej woli przyszedłem na spotkanie do naczelnika wydziału kultury.

Pierwszym urzędnikiem, z którym rozmawiałem, okazał się kierujący działem sztuki Piotr Andrejewicz Abrasimow. Patrzyłem na niego, słuchałem jego rozważań, a myślą wmawiałem mu: proszę mi pomóc, proszę uwierzyć we mnie, jesteście dobrym człowiekiem. Patrzyłem na niego i wyczekiwałem pauzy: gdy nastąpiła, wtedy powiedziałem: „Macie wielką przyszłość. Zostaniecie ambasadorem w wielkim kraju” (Piotr Abrasimow rzeczywiście został ambasadorem. - W. Sz.). I on uwierzył we mnie i włączył do grupy artystów, obsługujących okręg brzeski.

Od czasu do czasu sprawdzano mnie. Na żądanie jednego znanego człowieka w kraju, dali mi zadanie pobrania w Banku Państwowym, na podstawie wyrwanej ze szkolnego zeszytu kartki, sto tysięcy rubli. (Mowa była o Stalinie, ale i redakcja i sam Messing wtedy nie zdecydowali się wymienić tego nazwiska. - W. Sz.)

Wziąłem podaną mi kartkę, podszedłem z nią do okienka kasjera i obok postawiłem walizeczkę na pieniądze. Kasjer popatrzył na czystą kartkę papieru i odliczył sto tysięcy rubli. Obok mnie byli dwaj świadkowie z urzędu, którzy podpisali notatkę o przeprowadzonym doświadczeniu. Jak umówiliśmy się, po piętnastu minutach, podeszliśmy do kasjera i zwróciliśmy pieniądze. Do kasjera wezwali "karetkę pogotowia".

Było i inne zadanie. Wykonywałem je, już w Moskwie. Kazali mi wyjść z gabinetu najbardziej chronionego w kraju człowieka. (Był nim Beria, ale i tego nazwiska nie zaryzykowaliśmy zamieścić. - W. Sz.) Ten człowiek kazał mi wyjść z jego gabinetu i z budynku, nie okazując żadnej przepustki, a sam, przy mnie, zadzwonił dokądś i rozkazał być szczególnie uważnym wobec wszystkich, którzy będą wychodzić z budynku w czasie najbliższej pół godziny. Ale wyszedłem bez przepustki i pomachałem mu z ulicy. Prawda, umówiliśmy się, że nikomu nic się nie stanie za to, że wypuszczą mnie bez przepustki.

- Wolfie Grigorjewiczu, wydaje mi się, że sprawdzanie było uzasadnione. Przecież was nikt nie znał. Wy dobrze wyczuwacie innych ludzi, ale inni ludzie takimi zdolnościami nie dysponują: kto mógł wiedzieć, że nie wykorzystacie swoich zdolności w złej sprawie?

- Nigdy nie użyłem swoich zdolności w złej sprawie. Mam 75 lat, nie mam potrzeby, by kłamać, nie dokonałem ani jednego oszustwa, ani jednego nieuczciwego czynu. Tylko raz ukradłem w młodości ziemniak, bo bardzo chciało się jeść i oszukałem kontrolera-rewizora, kiedy jechałem bez biletu pociągiem. Nienawidzę kłamstwa i oszustwa. Pogardzam niedokładnością, nigdy nie spóźniam się. W żaden sposób nie możemy zrozumieć, że jedni ludzie przeszkadzają życiu innym ludziom, dopiero wówczas, gdyby wszyscy to zrozumieli, ludzie mogliby pomagać innym i wszyscy byłiby szczęśliwi.

- Wiem, że w latach wojny dużo występowaliście i nabyliście dla radzieckiego lotnictwa dwa samoloty za własne pieniądze.

- Tak, za pieniądze, otrzymane za występy, byłem w stanie kupić i podarować wojskowemu lotnictwu, w 1942 i 1944 roku, dwa samoloty. Samolotem, podarowanym w 1944 roku, latał lotnik Kowalew. Stracił 33 nieprzyjacielskie maszyny. Konstantin Kowalew został Bohaterem Związku Sowieckiego.

- Jednak, w jaki sposób, udaje się wam czytać myśli innych ludzi?

- Skomplikowana odpowiedź. Intuicja. Czuję i wszystko w tym się zawiera. Nie potrafię wam wyjaśnić mechanizmu przekazania myśli. Człowiek przekazuje notatkę. W niej jest zadanie. Biorę go za rękę i wykonuję wszystko, co napisane jest w notatce, która znajduje się u członków jury. Na każdym moim występie jest jury składające się z widzów. Żadnego fałszerstwa. Koncentruję się. Nastrajam się na induktora. Induktorem nazywam tego, czyje zadanie wykonuję. Przy tym słyszę całą widownię. Na kilka sekund odcinam się od niej. Kontakt z induktorem (trzymam go za rękę) pomaga mi zrozumieć jego myśli, wyodrębnić je z ogólnego szumu widowni. Ale pracuję i bez kontaktu. Kiedy mi zawiązują oczy, pracować prościej, mniej rozpraszam się, łatwiej skoncentrować się. Dla mnie ważny jest nastrój widowni: życzliwie czy nie, odnosi się do mnie publiczność, chce i czeka na moją wpadkę, albo będzie zadowolona z sukcesu? W tym momencie jestem bardzo pewny siebie. Im bardziej jestem pewny swoich sił, tym prościej wykonać zadanie. Otworzyć książkę, którą trzyma siedzący, powiedzmy, w piątym rzędzie na szesnastym miejscu, otworzyć ją na sto drugiej stronie, przeczytać trzeci akapit od góry, a potem tę książkę przekazać siedzącemu w dwudziestym rzędzie na trzecim miejscu i poprosić, by przeczytał czterdziestą piątą stronę. Na wykonanie takiego zadania, przekazywanego mi w myśli, potrzebne są dwie minuty. Na znalezienie schowanego w dowolnym miejscu sali wiecznego pióra - jedna minuta.

- Władacie hipnozą?

- Tak. Ale mało studiujemy to zjawisko. Umiejętność hipnozy posiada wiele osób. Wy też umiecie sugerować innym ludziom. Przyznaję się: gdyby tak nie było, to chyba nie rozmawiałbym z wami. Namówiliście mnie, wpoiliście, po prostu zmusiliście. Przecież nie chciałem się zgodzić, a potem, z jakiegoś powodu zgodziłem się. Wczoraj w nocy, około godziny drugiej, o czym myśleliście?

- O czym myślałem wczoraj w nocy o godzinie drugiej?.. O mojej rozmowie z wami. I bardzo bałem się, że odmówicie spotkania.

- Właśnie, takie odczucie, że rozmawialiśmy z wami na odległość i wtedy zdecydowałem: spotkam się i porozmawiam, chociaż jestem pewien, że wywiad nie będzie opublikowany i na próżno tracę czas. A poza tym, w ogóle nie lubię udzielać wywiadu. Ale potem zdecydowałem: pomogę człowiekowi. On odnosi się do mnie życzliwie. Razem chodziliśmy do cyrku. Poznaliście mnie z Nikulinym, a ja jestem fanem tego artysty. A gdybym wam odmówił, obrazilibyście się na mnie. Czyż nie tak? (Dwa poprzednie akapity, redakcja przygotowując wywiad do druku, wykreśliła, ale dzisiaj zdecydowałem się je odtworzyć. - W. Sz.)

O hipnozie dobrze opowiedział Włodzimierz Lewi. Jego książki, prawdę mówiąc, radziłby przeczytać młodym ludziom: „Polowanie na myśli” , „Ja i my”, „Sztuka bycia sobą”.

- Prawdopodobnie, Wolfie Grigorjewiczu, liczni zazdrozczą wam, myśląc: gdybym miał jego zdolności, już ja bym...

- I nic nie zrobiliby. Poznaliby pewne opinie na temat siebie, których na głos inni nie wypowiadają i załamałoby się. Czy warto zazdrościć mi tego, że mogę poznać, co myśli o mnie inny człowiek? Taka wiedza przynosi zwykle nie pożytek, a szkodę.

- Wolfie Grigorjewiczu, często pytają was wciąż o to samo: jak staliście się takim, jak żyliście, jak osiągnęliście sukces? Być może, warto napisać książkę?

- Być może i warto... Nie mogę poskarżyć się na brak zainteresowania moją osobą. Objeździłem cały świat, dużo widziałem i nigdzie nie żyło się mi tak łatwo, nie pracowało z takim oddaniem, jak w naszym kraju. Prasa, widzowie, władze państwowe poświęcają mi wiele uwagi. Jedynie, jak by to powiedzieć delikatniej, kto nie rozumie mnie - to uczeni. W naszym kraju ani razu nie użyłem słowa „telepata”. Zakazano mi mówić w wystąpieniach o telepatii. Sprzeciwiał się temu profesor Kitajgorodski. („Tak naprawdę, jestem pewny telepatii i uważam się za telepate, przekonany jestem, że ona istnieje i będzie się rozwijać”. Ta fraza była wykreślona przez samego Wolfa Grigorjewicza. - W. Sz.)

- Ostatnie pytanie: jak spędzacie swój dzień?

- Wstaję o ósmej rano. Mała gimnastyka. Mocna kawa z mlekiem, kawałek chleba, jajko na miękko. Czytanie. Spacer. Spaceruję z dwoma psami. Potem czytam gazety, czasopisma, książki. Obiad. Jeśli mam występ, to pół godziny odpoczynku. Jeśli mam wolny wieczór, to spotykam się z przyjaciółmi. Lubię oglądać telewizję. Czasami do mnie przychodzą przyjaciele. Sam także lubię chodzić w gości. Prawie nie piję. Niestety, palę. O dwunastej w nocy kładę się spać i szybko zasypiam. W najbliższe dni wyjeżdżam na Powołże, gdzie zamierzam dać trochę koncertów: Kazań, Saratow, Wołgograd.

Przygotowując publikację, poprosiłem Wolfa Grigorjewicza, o fotografię do gazety. Dał mi nieduże zdjęcie. Pomyślałem sobie: chciałbym otrzymać w prezencie zdjęcie dla siebie. On popatrzył na mnie, przeczytał moje myśli i powiedział: „Także chcecie fotografię. Proszę wziąć”. Wybrał trochę większą i napisał na odwrocie: „Wołodia! Wasza dewiza: stałość, niewzruszoność, dążenie do celu, w myśli jestem z Wami. Wolf Messing”.

Tak, dopiero po dwudziestu latach został opublikowany w „Niedzieli” wywiad, który dopiero co przeczytaliście. Zastępca redaktora naczelnego „Niedzieli” Stanisław Wiktorowicz Siergiejew zadzwonił do mnie i powiedział, że tygodnik likwidują - potem wznowili jego wydawanie – ale, jeśli mogę coś zaproponować redakcji, to ma on możliwość zamieszczenia mojego materiału w numerze. Zaproponowałem więc wywiad z Wolfem Messingiem, który przeleżał u mnie dwadzieścia lat. Wolf Messing miał rację.

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz